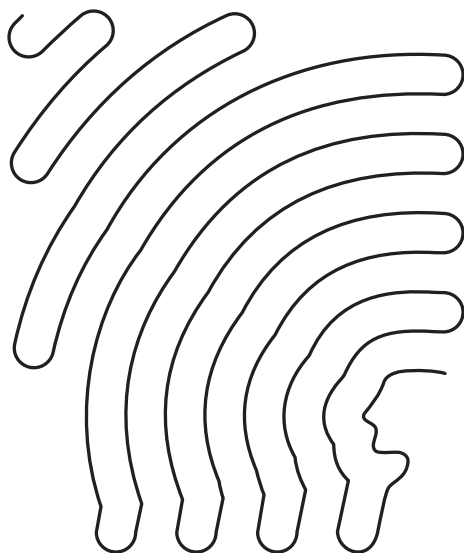


Michał Cetnarowski

# GNOZA



**powergraph**

Warszawa 2021

Copyright © 2021 by Michał Cetnarowski  
Copyright © 2021 by Powergraph  
Copyright © 2021 for the cover by Jan Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redakcja: Adrian Zieliński  
Korekta: Marianna Zydel  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: Jan Kosik  
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: +48 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-66178-58-8**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.  
Printed in Poland, EU

Oto okropny Abraxas.

*Jest najwzrostniejszym ze Stworzeń, w nim Stworzenie napawa się trwogą. Jest on objawionym sprzeciwem wobec Pleromy i jej nicości. Jest przerażeniem syna wobec matki. Jest miłością syna do matki. Jest zachwytem ziemi i okrucieństwem nieba.*

Carl Gustav Jung, *Siedem kazań do zmarłych*,  
tłum. R. Reszke, L. Kolankiewicz

*Rozpłenił się, rozpostarł, rozkrzewił. Kołysze się na wietrze. Pusty łeb, słoma we łbie, puste ciało, liczba w ciele, i szept jak szelest zsuszonej trawy, i sen jak barykada nocy, i kaktus jak łaska. Kołyszą się na wietrze, na całej równinie, od Słońca do Słońca, od gwiazd do gwiazd, mieszkańcy podziemi, wygnani wieczności, magnaci naszych utraconych królestw. Którzy rządzą duchem i materią, którzy wodzili na postronku bogi i kosmosy.*

Jacek Dukaj, *Science fiction*



oni szli przez las  
my lecimy  
ich nie zaproszą drugi raz  
my się sami wprosimy  
do przodu dwa  
ewentualnie trzy w górę  
niech żebra pękają  
przecinając skórę  
Król, Te smaki i zapachy

*Jedno chciałbym powiedzieć wyraźnie. Nie mam zamiaru wynoszenia się ponad moich towarzyszy. Stanęliśmy u podnóża olbrzymiego znaleziska tak nieprzygotowani, a zarazem tak pewni siebie, jak to tylko być może. Obleźliśmy je natychmiast ze wszystkich stron, bystro, łapczywie i zręcznie, z tradycyjną wprawą, jak mrówki. Byłem jedną z nich. To jest historia mrówki.*

Stanisław Lem, Głos Pana



# Anamneza





Dziewczyna siedząca przy stoliku na patio rekreacyjnym Szpitala przypominała delikatny, egzotyczny kwiat jednej z wielu genmodyfikowanych odmian, które wiły się po ścianach i chromowanych stelażach strefy dla odwiedzających. Tak się kończą zabawy w Edenie, pomyślała Matylda, patrząc na przyjaciółkę. Kolejny raz nie zdołała powstrzymać się przed tą obsesyjną myślą. Obsesyjną, bo bezcelową; niczego nie mogła już zmienić, powstrzymać, naprawić.

Na czystym blacie przed Sonią leżał plik kartek z bambusowego papieru i węgielki do szkicowania z tej samej ekskluzywnej, oldskulowej manufaktury. To była część terapii; rysowanie ponoć uspokajało. W sabacie z tego samego powodu wkręcali się w kaligrafię. Odkąd Matylda zbliżyła się z Timurem, próbowała go przekonać, że choć raz powinien spróbować podobnej medytacji. Kartki przed Sonią były białe i sterylne jak blat.

— Jadłeś już? Bo nie wiem, ile mamy czasu. Zbyt szalowo to was tu nie karmią, heh... Opowiadałam ci, jak nam się udał ostatni miód koniczynowy?

Przychodziła do Soni z perwersyjną regularnością, choć jej równolatka miała ograniczony kontakt z rzeczywistością. Dziewczyna należała do ich sabatu, ale to z Matyldą łączyło ją najwięcej. Po tym, co obie przeszły, trudno było nie traktować jej jako najbliższej przyjaciółki. A może nawet siostry, takiej w dawnym stylu? Albo współofiary. Matylda nie lubiła tego określenia, choć już przed nim nie uciekała; lata terapii zrobiły na szczęście swoje. Stare rany zaleczyły się, miała na to papier; co nie znaczy, że blizny już nie swędziały. Dziewczyny tkwiły pod przeszkloną kopułą i znów prawie nie rozmawiały.

Także dlatego, że w Szpitalu Matylda wyłączyła wszystkie Warstwy. Na innych oddziałach obowiązywały mniej hardkorowe protokoły, terapeutyczna gamifikacja i sesje w odpowiednio projektowanych realmach były tam na porządku dziennym – no bo jak inaczej oswoić dręczące cię traumy, zdemaskować mechanizmy fobii, odwiedzić i rozwiązać najduszniesze sny? Jednak tu było inaczej. Matylda chciałaby teraz wysłać glifa, opowiedzieć-przekazać-dać poczuć Soni to, co niewypowiadalne, ale jak to zrobić, mając do dyspozycji jedynie słowa, nerwowo spoconą dłoń, schrypnięte gardło?

Na oddziale dla takich, którzy na serio przećpali rzeczywistość, w ogóle mało kto rozmawiał; co można było dodać, kiedy już wszystko zostało powiedziane? Każda z cotygodniowych wizyt przypominała Matyldzie dawne wydarzenia, wspólnotę Edenu, wszystkie tamte dziwne lata, przede wszystkim zaś Alicję Reut-Nowicką. Jej matkę. A jednak nie uciekała przed swym obowiązkiem; wiedziała, że to ważne, by nie zaniechać podobnych wizyt. Z półprzymkniętymi powiekami i rozchylonymi wargami, Sonia wystawiała właśnie twarz do słońca, które przebiło się przez tropikalne chmury nad Warszawą, i napraw-

dę wyglądała jak roślinka, która wzrasta w blasku, pije światło.

Matylda od czasu do czasu łamała tę boską ciszę między nimi, rzucała jakąś błahą uwagę, żeby nie wzbudzać podejrzeń Szpitala, ale tak naprawdę milczały. Sonia w zasadzie nigdy nie otrząsnęła się z tego, co widziała w Raju. Inaczej nie spróbowaliby... z tym wreszcie skończyć, i nie wysmażyłaby sobie prawie połowy mózgu. A przynajmniej tych jego części, które były odpowiedzialne za skupienie, koordynację przestrzenną i rozpoznawanie twarzy. Przy okazji pałac sobie gniazdo do octopusów. Mimo tego, co razem przeżyły, bez podpowiedzi z ośmiorniczek były teraz jak dwie obce sobie dwudziestoczworoletki, które przypadkowo usiadły przy tym samym stoliku.

— Pan Marcin mówił, że znów zrobiłaś postępy w rehabilitacji. Podobno składasz już w zasadzie całe zdania. Ale ten czas... — Matylda ugryzła się w język. Trzy ćwieki żelaznego piercingu wpięte w górną wargę zmarszczyły się charakterystycznie. Przed wejściem do kliniki dziewczyna ze zdumieniem uświadomiła sobie, że Sonia znajdowała się w niej już prawie rok. Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie mogła wrócić do ich sabatu.

Matylda nie lubiła wizyt w ośrodku nie tylko dlatego, że przypominały jej o matce. Nie to, że chciała o niej zapomnieć; ale widząc ten sterylny dizajn, po prostu czuła, jakby coś łąpało ją za gardło, i potem długo musiała wytrząsać z siebie to obce emo, szpilic do upadłego w najdziwniejszych virach, szprycować się realmami. A może po prostu bała się tego, co widziała za każdym razem w eterycznej, prawie przezroczystej twarzy siostry w cierpieniu? Że to przecież mogła być ona. Wtedy, w Edenie, ją to też spotkało.

No i najzwyczajniej w kamerach Szpitala czuła się bezbronna przed okiem Marszałka.

Przechodził ją dreszcz, kiedy myślała o tych wszystkich rejestrach, logach, śladach, które musiała zostawić, żeby wpuszczono ją na oddział. Czuła się obnażona, poddana pod władzę cudzego spojrzenia, pozbawiona wszelkich wtyczek sabatu, pozwalających choć trochę zmylić wszechobecne rejestratory Marszałka, spijającego dane ze Szpitali, Szkół, Urzędów i w ogóle każdego z ośrodków działających pod samodzielną SI, do których miało dostęp Państwo. Tyle dobrego, że nauczyła się już przynajmniej udawać, że wcale jej to nie rusza, nawet bez technologicznych wspomagaczy; oni wszyscy się tego nauczyli, pokolenia niewolników tresowanych przez bezwzględne anioły algorytmów. Gorzej, że dziś miała do stracenia więcej niż dumę i swoją prywatność. Przecież za kilka dni akcja...

Skarciła się instynktownie, żeby nawet o tym nie myśleć. Podrapała się po krótkich włosach, sterczących jak sztywne druty na szczycie wysoko podgolonej czaszki. Kilka razy gwałtownie zamrugła. Ziewnęła. Mrugnęła-kichnęła-zaśmiała się. Niech analizatory kliniki się tym teraz martwią. Szpital prawie na pewno nie monitorował jej fal mózgowych i nie mógł aproksymować myśli, na szczęście były na to jeszcze paragrafy, zwłaszcza po niedawnym skandalu w kręgach berlińskich merytokratów. Ale nie trzeba czytać myśli, żeby zhakować ci duszę; stale to sobie powtarzali w sabacie. Z drgnienia brwi, podwyższenia temperatury skóry o ułamek stopnia, ze zmiany ilości dwutlenku węgla w wydychanym powietrzu. Mógł cię zdradzić nawet uciekający wzrok albo bezwiedny tik, który w rejestrach Marszałka pojawiał się zawsze, kiedy kłamiesz. Albo ominięta wizyta u siostry-przyjaciółki,

wyrwa w cyklicznym rytuale. Więc lepiej nie myśleć, nie mówić, nie rozmawiać w realu. Unikać wszelkich powtarzalnych zachowań. Paradoksalnie w Warstwach dużo łatwiej było o solidną enkrypcję i skuteczne klucze prywatne.

— To może ja już... — zaczęła, ale właśnie wtedy Sonia się poruszyła. Przez owadzią twarz przebiegł skurcz.

Matylda ucieszyła się, że może jednak usłyszy dziś przyjaciółkę. Ale ta nie otworzyła oczu. Zamiast tego jej dłoń odnalazła jeden z grubych węgielków, ujęła go koślawo, palce zaciśnięte na palcach jak supły-narosta-guzy. Jakby dłoń funkcjonowała niezależnie od umysłu, poruszała się bez związku z resztą ciała. A potem zaczęła szkicować.

Nerwowe, rwane ruchy. Chaotyczne przyspieszenia, zero gracji, cięcia szarych linii pojawiające się w przypadkowych miejscach, to na jednym, to na drugim rogu prawdziwej biokartki. Kilka smug, czarnych iskier, szarych meteorów, wyprysło nawet na blat. Za mocno dociśnięty węgielek strzelił grudką grafitu, ale Sonia nie przerwała gorączkowej pracy.

Matylda już się zorientowała, że dzieje się coś niezwykłego, i na pewno by kogoś wezwała, zanim zadziałają algorytmy Szpitala. Na pewno tak. Ale wtedy w chaotycznej płataninie linii i rozcieniowanych kantem dłoni płaszczyzn dostrzegła wyłaniający się kształt. Coś jej przypominał. Kogoś. Wiedziała kogo. Przecież rozpoznała go od razu.

To nie mógł być on, ale to na pewno był on.

Marduk. Marduk Nowicki.

Jej ojciec majner.

Jej ojciec majner, skryty od lat między gwiazdami.

Zanim przybiegli zaalarmowani przez Szpital asystenci leczenia, Matylda zdołała jeszcze dojrzeć jego – ale przecież nie jego, to nie było możliwe – twarz.

Te cięcia, zagęszczone siatki, poszatkowane światłocienie – to była wściekła radość? pijany gniew? euforyczny strach?

A może szalona rozpacz?

**Część I**  
**Powołanie Matyldy**





Później, kiedy już umarła dla świata, przypomniała sobie, że rankiem w dniu akcji rzeczywiście wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje. W glinie, nie w realmie. Ale wtedy oczywiście było już za późno. Idea fizycznej inwigilacji była zresztą tak absurdalna, że nawet gdyby Matylda nie zlekceważyła niepokoju, traktując go jako naturalną odpowiedź na hecę czekającą ich sabat, nie przyszłoby jej do głowy, że coś należy z tym zrobić. Zresztą, co? Wysłać zgłoszenie na polipy? Już prędzej przyjęłaby, że to właśnie one przejrzały ich plan. A może po prostu uznałaby, że to wciąż echo wizyty u przyjaciółki, kiedy ujrzała to, czego ujrzeć nie miała prawa? Długo wtedy patrzyła na tę pomietą i zarysowaną kartkę, chociaż Sonia ostatecznie pokreśliła ją całą, chwila epifanii przeminęła, w chaotycznej szaro-czarnej płątanie nie dało się rozpoznać już żadnych kształtów.

W dniu wielkiej hecy dziewczyna obudziła się o szóstej trzydzieści. Dziwny sen, pełen burzących się wściekle zdań bez desygnatów, też musiał być echem wizyty w Szpitalu. Dziewczyna pilnowała się, żeby o tym nie

myśleć. Znajomi znajomych z sabatów spoza jej bąbla lubili ustawiać sobie jakieś seksowne stymulanty, żeby zrywać się z łóżka na pełnym gazie, napompowani adrenaliną i endorfinami, autentycznie szczęśliwi, gotowi pomnażać PKB i sumę ludzkich nieszczęść. Marszałek ceniał ten rodzaj zaangażowania w życie i pracę. No cóż, każdemu jego piekło, prawda? Matyldzie wystarczyły żywe kwiaty, pnące się po ceglanych ścianach ich królestwa, i automatyczne rolety w oknach, które Dom podnosił o świcie, przynajmniej wiosną i latem, kiedy zapasy z paneli słonecznych wystarczyły na dłużej. Tak jak dziś. Mieli szczęście: w nocy kwietniowa ulewa zmyła z miasta szary nalot z krążącej nad Mazowszem chmury smogu i do pokoju wpadły pierwsze promienie mocnego słońca. Dla Warszawy, inaczej niż dla Matyldy, zapowiadał się dobry dzień.

Przez chwilę leżała nieruchomo, wdychając ciepłą woń kompostu i siennika ułożonego w jej kącie przestronnego loftu, i ćwiczyła oczy: dziesięć okręgów w prawo, dziesięć w lewo, potem relaks i zogniskowanie wzroku na odległym suficie. Przygotowywała je do pracy. Wreszcie ziewnęła, odrzuciła z bioder nogę Timura, nieziemsko pięknego androgynicznego uciekiniera z Federacji, podrapała się pod piersią i wstała. Zielono-szare pędy tatuażu z drobną domieszką chlorofilu, wyrastające spod bawełnianego podkoszulka na ramięczkach i wypuszczające korzenie w dół uda, przez białe figi, gięły się z każdym jej ruchem, jakby chłostał je wiatr. Ygdrassil-Drzewiec dostojnie kroczył wraz z nią do łazienki; zastanawiała się, czy na starość, kiedy już prysną wszelkie złudzenia, nie opleść wokół pnia Jormunga, który miażdży świat.

Szybko założyła ośmiorniczki i sprawdziła godzinę.

*/upalny przełom dnia – głodna, wypłowiata lwica –  
wiatr kruszy zamki z piasku/*

Lewe ramię urzędnika samo wyszukało port i wpięło się w przesłonięte cienką syntetyczną błoną gniazdo za uchem. Matylda miała jeszcze kilka minut, zanim zacznie się jej kwadrans na poranną toaletę. Sprawdziła swoją wróżbę na dzisiaj. Wyrocznia wyszeptła jej heksagram dziewiętnasty, Lin, cztery pierwsze pałeczki krwawnika przełamane, ostatnie dwie całe. „Zbliżenie, nadejście wielkiego”. Niestety, gdy przeważy młody jin, symbol słabości, która dominuje w heksagramie, ale ustępuje pod naporem jang.

*/parne ciche popołudnie – sznur szczekający ludzkim głosem – osa polująca w kielichu kwiatu/*

Odgoniła niepokojące myśli, oczyściła ducha, napięła ciało. Lubiła wykorzystać ten czas na kilka asan Powitania Słońca, pozycję góry, głęboki skłon, wykrok do przodu, kobrę. Octopus wyrzucał jej poranne aktualizacje soszali, z personalnie miksowanym soundtrackiem.

— Cześć, piękna.

— Bry.

Opuściwszy udzielne królestwo toalety, Aśka Pani-na-Pradze Zawadzka przywitała się z wypuszczającą właśnie powietrze przez nos Matyldą, manualnie odpa-liła ekspres na zielone waty. Manifest ich sabatu mówił wyraźnie: kiedy możesz, żyj w glinie. Unikaj technologii, które da się zastąpić pracą ludzkich mięśni. Nie bój się dotyku, materia nie parzy.

Wysoka, anorektycznie chuda, piękna, z napuszczonymi błękitnym atramentem bliznami po prymitywnej skaryfikacji na łysej czaszce, Aśka miała dwadzieścia dziewięć lat, najwięcej z nich wszystkich. Choć w całym konwencie zdarzali się jeszcze starsi weterani. Wiek zawsze robił różnicę, pokolenia rozjeżdżały się jak uciekające galaktyki; od tej prawdy biologii uciec się nie dało.

Od Matyldy dzieliło ją niby tylko pięć lat, ale różnica była bardziej niż wyczuwalna: wychowały cię już inne szpile, glify, sosziale. Jakbyście dorastały w równoległych wszechświatach. Pani-na-Pradze najdłużej z nich wszystkich była też anarkiem; zaczynała jeszcze w czasach, kiedy nie podpisali wspólnego manifestu.

*/stromy górski stok – rozeźlona kobra rozpościera kaptur – chłodny refleks słońca na tafli jeziora/*

Matylda w końcu wyszła z asany, przywitała się i zerknęła w jasnoczerwone tęczówki swojej siostry w sabacie, zabarwione przez szczep mutującego w ściśle określonym tempie wirusa, który z każdym obrotem swojego zegara RNA powodował nowe efekty wizualne. Parę osób ponoć już od tego oślepiło. Jego twórca, prawdziwy banksi body artu, nie pierdolił się w tańcu i dlatego był tak popularny. Cóż, *live slow, die hard*. Żebyś nie zapomniał, jak zabijałeś Matkę.

— To co, widzimy się później?

— Kto chciałby to przegapić, młoda, no nie?

Łysa wojowniczką Gai wyszczerzyła się w drapieżnym uśmiechu. Matylda od razu pomyślała, żeby nagrać ten grymas i puścić jej ośmiorniczką zamrożony w wojowniczego glifa, ale oczywiście nic by z tego nie wyszło. Aśka jako jedyna z sabatu w ogóle nie zakładała octopusów aż do wyjścia z domu, w uliczne Warstwy Warszawy.

— Po wszystkim widzimy się u Aldika albo tutaj, jak nie zgubicie ogona w drodze do pubu. Matylda...

— Tak?

— Uważajcie na siebie.

— Mamuśka, no co ty? Przecież to nie pierwsza taka akcja.

— No wiem, ale. Po prostu pamiętaj.

— Do góry cycki, nic nam nie będzie.

— Dobra, zbieraj się już, bo cię Sklep zamknie.

Pani-na-Pradze łypnęła na Matyldę czerwonym wzrokiem wściekłego albinosa i uśmiechnęła się łagodnie, żeby przełamać atmosferę chwili, ale pod tym wzrokiem wyszło to tak, jakby zamierzała przegryźć jej twarz. Matylda mimowolnie parsknęła. To prawda, teoretycznie Sklep mógł nadać ją na polipy, ale takie rzeczy raczej się nie zdarzały. Zarząd spółdzielni, który by rzeczywiście uruchomił podobne skrypty menedżerskie, musiałby sam zapierdalać za ladą, przynajmniej tu, na Pradze.

Według ustalanego co tydzień grafiku zęby przed Matyldą myła Aśka, po niej łazienkę zajmowała Okoye, młoda i piękna, jak oni wszyscy. Znaczyło to, że Matylda miała najbliższy kwadrans tylko dla siebie. Zresztą większość sabatu i tak żyła obecnie w innych strefach czasowych. Grimhilda klepała po nocach kod AIdwokatów dla amazońskich bojówek Grüne Welle, próbujących znaleźć luki prawne w kontraktach chińskich konsorcjów wydobywczych, które dogadywały się z kolejnymi amazońskimi juntami. Po niedawnej próbie przejęcia planternetu w dzierzawionej przez korporacje dżungli właśnie posypały się na nich oskarżenia i nastolatka żyła w nieustającym kranczu, jedząc tylko orzechy i co trzy godziny wkrapiając serotoninę w kąciaki oczu, żeby z przemęczenia nie połknąć Czarnego Psa.

Geralt i Boruta, regularnie falujący w rytmie cikliwych powrotów i najprawdziwszych soapoperowych kłótni, przeżywali właśnie kolejne ożywienie romansu, jakby nie mogli się z niego otrząsnąć raz na zawsze. (Była już na to chemia). Widać naprawdę przycisnęła ich Wielka Nieskończona Miłość. Zatrudnili się więc też razem, na kontrakcie, jako reżyserzy przeżyć zblazowanych asapów w Bangkoku, i teraz wprasowywali się z nimi w Warstwy

w różnych strefach geograficznych, co zupełnie rozregulowało im biozegar. Trudno, czasami trzeba robić interesy nawet z wrogiem; to przy nim była wciąż forsa i władza.

Reszta sabatu może by to oprostowała, korzystając z rodzinnego prawa weta, ale szczerze miłosne zapasy chłopaków naprawdę ich rozczułały i stanowiły temat najlepszych tarasowych plotek, więc na razie nie drażno sprawy. Ile zresztą wytrzymają w tym zdradzieckim arbacje, miesiąc, półtora? Tyle przynajmniej wytrzymywali zazwyczaj, gdy harowali za pieniądze Państwa jako rehabilitanci marki, ewakuatorzy chmur czy animatorzy sosalowych posthumusów (to ostatnie po prawdzie było bardzo słabe i sabat szybko wybił im to z głowy w cosobotnim głosowaniu). Fucha przemytników plemiennych i tłumaczy międzykulturowych też dawała im dużo adrenaliny i fanu, ale takie rzeczy możesz robić, jeśli masz nerwy ze stali i osobowość borderline; rotacja tam była większa niż wśród testerów nowych, freakowo psychodelicznych Warstw. Nawet jako instruktorzy shibari i trenerzy personalni w inkluzywnym klubie dla anarków na Bródnie dobili ledwo do kwartału, a wydawało się, że nie ma lepszej roboty dla młodych, wysportowanych, zakochanych. Niepamiętające o strachu przed jutrem, szczęsne dzieci pokolenia YOLO.

Rysiul, *soulmate* Pani-na-Pradze jeszcze z czasów pierwszych zawodowych kursów za gówniaka, był tylko o rok młodszy od Aśki, właśnie przeżywał egzystencjalny kryzys, wywołany coraz szybciej zbliżającą się trzydziestką, i od jakiegoś czasu trudno było w ogóle z nim pogadać. Dawali mu więc spokój i pozwalali, żeby pokisił się trochę na Państwowej podstawce. Timur zaś leciał na końcówce zapomogi dla repatriantów, za którą balował do rana w retrospelunkach Grochowa, a gdy go

przycisnęło, lał piwo z kija w owadziarniach na palach stawianych na terenach zalewowych na prawym brzegu Wisły. Uciekinierzy ze wschodnich stepów albo głębokiego Południa byli tam zatrudniani najchętniej, bo to oni najlepiej radzili sobie z moskitami. Na wirusy można się było szczepić, ale jak dotąd nikt nie wynalazł skutecznego lekarstwa na swędzące rany po ukąszeniach tych wściekłych diabłów.

*/złota polska jesień – rozjazgotany pies w kagańcu, o oszalałych z bólu, świadomych wszystkiego oczach – po przedramieniu splywa kropla wody/*

Matylda poprawiła sztywne włosy i miłosiernie spuściła wodę po trzecim użyciu toalety, tak jak się umawiali. Jej kolej na prysznic wypadała dopiero za dwa dni, ale zdążyła się do tego przyzwyczaić. Kiedy przygotowywała na śniadanie jogurt z miodem i chlorellą w ulubionej bambusowej miseczce, pingnęła taktycznie Timura, ale chłopak widocznie dosypiał, bo nie otrzymała zwrotki. Ośmiorniczki przypomniały jej za to o grafiku dzisiejszego dnia. Jeszcze raz sprawdziła plan akcji. Poczowała uścisk w żołądku: z podniecenia? z głodu? ze strachu?

Wszystko zrobiła w offie, żeby boty szpiegujące poli-pów nie trafiły zbyt wcześnie na ich ślad. A najlepiej wcale. Na szczęście SKS w tej części Europy wciąż był aplikacją dowolną, choć Azjaci naciskali coraz bardziej. Po rytualnym sobotnim blancie z rodzinnej hodowli, wypalany na dachu, nawet gdy lało, sabat Matyldy zgodnie przyznawał, że to jedna z niewielu dobrych stron życia w Tymkrajach.

— Słyszysz mnie, ogierze? — odezwała się w końcu do chłopaka w realu, rozkoszując się kolejną łyżką kwaśno-słodkiego jogurtu. Dotyk gładkiego drewna na języku był dodatkowym plusem takiego śniadania.